

MICHAŁ ZABŁOCKI

Znikająca krajina

Wędrówka
przez góry Śląska



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawca dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka

Redakcja: Marta Banaś

Korekta: Kamila Galer-Kanik

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@wydawnictwosploty.pl

WWW: wydawnictwosploty.pl

ISBN: 978-83-289-3555-6

Copyright © Helion S.A. 2026

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Spis treści

1. Brama Sudetów /7
 2. Prawie Czechy /17
 3. Zwiężła historia Europy Środkowej /35
 4. Ukryte moce sandałów /56
 5. Retrospekcje /80
 6. Skok na tysiąc metrów w górę /91
 7. Znikający śnieg, znikające wsie /104
 8. Niszczyciele pejzażu /120
 9. Zapach sudeckiej łąki /129
 10. Czerwone ziemie /154
 11. Ślady dawnej świetności /171
 12. Burza czasowa /190
 13. Krajobraz, który zabija /206
 14. O biedzie w górach różne są opinie /227
 15. Na krawędzi /249
 16. Spacer w chmurach /270
 17. Krańce świata /291
- Zakończenie /309

4.

Ukryte moce sandałów

Dorastaliśmy w dychotomii, niejednoznaczności, na pograniczu świata i epok. Choć urodziłem się we Wrocławiu, co rusz przy różnych okazjach, na przykład wtedy, gdy jako ostatni kładliśmy się spać, głupkowato i zupełnie bez wyczucia dowcipkowaliśmy, że „Festung Breslau poddaje się ostatnia”.

Wiązało się to z historią upadku hitlerowskiej twierdzy, która według powtarzanego powszechnie mitu uległa Armii Czerwonej dopiero 9 maja 1945 roku, a więc dzień po podpisaniu aktu kapitulacji Rzeszy przez Keitla. To nieprawda; w rzeczywistości oblężony Breslau padł trzy dni wcześniej, a miasto poddał Sowiecom generał Niehoff. Nastąpiło to już po samobójstwie Hitlera, gdy na placach miasta, wśród szalejących pożarów, gwałtów i grabieży, od 7 maja defilowały wojska sowieckie.

Festung nie poddała się ostatnia. Najdłużej bronionym przez nazistów miastem był położony w Bretanii port Lorient — baza morska dla terroryzujących Atlantyk wilczych stad niemieckich U-bootów, zrównana z ziemią przez alianckie lotnictwo. Uległa 10 maja. Dziś wygląda jak wielkie, kanciaste blokowisko i raz do roku ożywa wraz z dźwiękami światowego festiwalu muzyki celtyckiej.

¹ Norman Davies, Roger Moorhouse, *Mikrokosmos*, Znak, Kraków 2002, s. 56 (Prawdą jest, że Breslau była ostatnią z twierdz Rzeszy, ale nie ostatnim miejscem obrony hitlerowskich Niemiec).

Mawia się także, że „we Wrocławiu się powodzi”. To złośliwa pamiątka po tragicznej fali na Odrze z 1997 roku, która przeszła przez miasto i zostawiła po sobie najpierw wodę po drugie piętro, a potem błoto i plagę szczurów. Ale dała też miastu impuls do rozwoju po napływie pieniędzy na remonty oraz stała się zdarzeniem formującym, mitem o obronie przed żywiołem jednoczącym mieszkańców — kiedyś walczących z powodzią na wałach Odry, a dziś wspominających te wydarzenia pod pomnikiem powodziarki czy przed telewizorem w czasie emisji serialu *Wielka woda*.

Nazwy miejscowe zawsze były dla mnie dwujęzyczne, nauczyłem się ich w ramach gromadzenia wiedzy życiowo nieprzydatnej. Choć nigdy nie opanowałem niemieckiego — koledzy z PAP-u droczyli się, że jestem jedynym Wrocławianinem, co nie mówi po niemiecku — wychowałem się na Popowicach, czyli Pöpelwitz, które sąsiadowały z Kozanowem, Kosel. Z dziadkami jeździłem tramwajem na wybieżki do Leśnicy, Lissa, albo na Kowale, Kawallen. Potem przeprowadziłem się na Klecinę, do Klettendorfu, w sąsiedztwo cukrowni i jej typowo śląskich familoków, na zasypane burakami cukrowymi każdej jesieni ulice. Stamtąd już było dobrze widać górę Sobótkę — Zobten, czyli Ślężę. I teraz, gdy włóczę się po Śląsku i wchodzę do nowej miejscowości, zawsze sprawdzam, jak nazywała się kiedyś.

Równie dobrze mógłbym być Wandalem, Nahanarwalem, Silingiem, Bojohemem, Nerwem, Wendem, Antem, Sklawinem czy nawet Hunem, Awarem, Mongołem, Czechem, Węgrem, Sasem, Francuzem, Niemcem, Rosjaninem. I pewnie w jakiejś części jestem. Wszyscy tu byli, wszyscy zajrzeli kiedyś na Śląsk i w Sudety. Niektórzy zostali, inni odeszli, jeszcze inni musieli uciekać.

Rzymianie w sandałach podbili cały znany im świat: od Atlantyku po Morze Kaspijskie i Zatokę Perską. I sądzę, że gdyby na północy było choć trochę cieplej, a oni chcieli iść choć trochę dalej, dotarliby i do nas.

A może i dotarli? Rzymski kronikarz Kasjusz Dion w *Historii rzymskiej* pisał, że imperator Domicjan wysłał stu konnych na pomoc sprzymierzonym z nim Lugiom, a więc już za Sudety, by wesprzeć swych sojuszników w wojnie ze Swebami². Archeologowie na Kujawach całkiem niedawno znaleźli pozostałości rzymskiego oporządzenia końskiego i nie wykluczają, że mogą mieć związek z wyprawą³.

Najbliższe trwałe pozostałości pobytu Rzymian na północ od Dunaju znajdują się na Słowacji, jakieś 150 kilometrów na południowy wschód stąd. Zachował się łaciński napis z czasów Marka Aureliusza i toczonych na terenie dzisiejszych Moraw i Słowacji wojen z Markomanami i Kwadami, upamiętniający w skale zwycięstwo nad wrogami oraz wymuszony zimowy postój legionu cesarskiego Legio II Adiutrix w obozie Laugaricio, utożsamianym ze współczesnym Trenczynem.

Zima w sandałach musiała być trudna nawet dla doświadczonych legionistów. A ja, choć lubię polarne wędrówki po górach, zdecydowanie bardziej wolę chodzić latem.

Wadą sandałów jest ich podatność na błoto; na mokrym gruncie naprawdę łatwo skrócić kostkę czy się poślizgnąć. Plusem jest to, że pomimo 65 kilometrów w nogach w najgorętsze dni roku na stopach nie mam żadnych odparzeń ani odcisków.

Poranek raczy mnie piękną pogodą i rześkim, schłodzonym przez deszcz powietrzem. Wygodne łóżko pozwoliło odzyskać siły. Wstaję, by — jak Wandalowie — iść dalej na zachód. Dziś przecież też czeka mnie długa droga.

² Cassius Dio, *Roman History*, https://penelope.uchicago.edu/Thayer/E/Roman/Texts/Cassius_Dio/67*.html [dostęp: 10 listopada 2025].

³ Szymon Zdziebłowski, *Archeolog: mamy dowody na obecność rzymskich legionistów na terenie Polski*, <https://naukawpolsce.pl/aktualnosci/news%2C29296%2Carcheolog-mamy-dowody-na-obecnosc-rzymskich-legionistow-na-terenie-polski> [dostęp: 10 listopada 2025].

W Vidnavie mam chwilę, by dokładniej obejrzeć pominięty poprzedniego wieczora rynek. Przedstawia urokliwą, choć wyjątkowo bezludną mieszankę dwu- i trzypiętrowych kamieniczek, między które po wojnie dyskretnie wszedł socrealizm, a potem, po rewolucji, brutalnie wdarł się eklektyczny postmodernizm, wyrażający się w przeskalowanej bryle sklepu wielobranżowego Hruška.

Na placu stoją kolumna mariacka, Nepomuk i fontanna przyjaźni. Czyj — nie wyjaśniono. Widzę tylko napis, że w 2000 roku ufundowali ją mieszkańcy. Lecz jest niezwykle pusto, ta przestrzeń, choć całkiem ładna, nie pasuje mi. Gdzieś — na przekór symetrii — ulatuje porządek i nie potrafię wyjaśnić dlaczego.

Najlepiej wypada neorenesansowa kamienica z Apteką pod Czarnym Orłem, nad której gzymsem zgrabnie stoją dwie z pięciu cór Asklepiosa: Higieja od czystości i Panakeja od ziółek. Wystrój, gdy zaglądam przez szybę, wygląda, jakby nie zmienił się od stu lat, co w sumie w Czechach nie jest niczym nadzwyczajnym. W budynku mieści się hotel i teraz, widząc znakomicie zachowane wnętrza, trochę żałuję, że nie było tam dla mnie łóżka.

Ruszam z powrotem w stronę porzuconego wczoraj szlaku. Po obu stronach ulicy mam niskie domy, pokryte typowym czechosłowackim szarym tynkiem-barankiem i dachami osłoniętymi przybrudzonym, romboidalnym eternitem. Trawa skoszona, chodnik dziurawy i wbrew zamiarom budowniczych — lekko ruchomy. Gdy kończą się domy, zaczynają się błonia, oslepiają mnie migotaniem od nadmiaru rosy.

Celowo idę tą drogą. Miała tu miejsce jedna z wielu korekt granicy między Polską a Czechosłowacją. Wieś Krasov (Krasów, Schubertskrosse), przez którą przechodzę, dziś część Vidnavy, znajdowała się w Austrii, Prusach, Niemczech, Czechosłowacji, Czechach, a w latach 1945 – 1959 też w Polsce. Polska za Krasów dostała Skowronków (Skřivánkov, Lehrenfeld), który wczoraj przeszedłem za Jarnołtówkiem, jakoś tego nie zauważając.

Zaraz za osiedlem i na samej granicy znajduje się rezerwat Vidnavskie mokradła (Vidnavské mokřiny). Po deszczu i wśród porannych mgieł, gdy w stawach, rzeczce oraz na powalonych konarach skaczą żaby i owady, wygląda dziko i tajemniczo. Czekam tylko, aż z wody wynurzy się ręka z mieczem albo zjawi się rusałka, by zwieść mnie śpiewem i czarami zgubić na bagnach. Lecz zamiast boginki dróżką człapie barczyste chłopisko, niezgrabne i ogromne jak baśniowy troll, z wielką głową i spadającymi na oczy kędzierzawymi lokami, z miniaturowym białym puchatym pudlem na smyczy. Mężczyzna sunie zaspany przez granicę, właściwie wlecze go pies, siłą przeciąga z Polski do Czech.

Wieś Łąka (Wiesau) po polskiej stronie chowa się w głębokiej zieleni i kontrastującym z nią żółtym polu słoneczników. Nad dachami domów dostrzegam wieżę kościoła, mijam remizę i docieram z powrotem do GSS. Przy drodze jest sklep. Wskakuję po proste, podróżne śniadanie. Owocowy jogurt przegryzam świeżą bułką, która nie wiem czemu, ale zawsze za miastem smakuje wybornie — przygodą zmieszaną z beztroską.

Chałupy we wsi porządne, zadbane, niczym nie różnią się od tych w Czechach, choć tu jest chyba więcej aut. Za Łąką cmentarz, pola i postpegieerowskie budowle różnych kształtów i kubatur, pewnie jakaś spółdzielnia rolna.

Idę asfaltem drogą bez pobocza. Szlak wypłaszcza się, równa, jakbym wszedł na Mazowsze lub Węgry. Tylko w oddali na południu wystaje zarys wysokich gór, do których zamiast się zbliżać, pełzną równolegle. Po lewej zostawiam barwne stawy, glinianki czy osadniki, które — fioletowe, bielejące na brzegach i błyszczące w słońcu — wśród kolorowych pól wyglądają jak wykopane z ziemi śląskie skarby: ametysty, topazy czy kwarcy. Przecinam most na Widnej, co jeszcze przed chwilą nosiła nazwę Vidnavka, i wchodzę do Kałkowa (Kal-kau), o dziwo już chodnikiem z polbruku, gdzie hipnotyzuje mnie

i przyciąga do siebie ceglana wieża, pasująca bardziej do krzyżackiej fortecy niż śląskiej wsi.

Od Łąki do Kałkowa czerwony GSS łączy się z niebieskim szlakiem kopernikowskim. Niebieski wychodzi z Nysy i robi sporą pętlę wokół Jeziora Nyskiego i okolicy, zahaczając po drodze o wieś Koperniki, skąd przez Kraków do Torunia trafili przodkowie astronoma, co to wstrzymał Słońce, a ruszył Ziemię — i nawet nie trafił za to na stos, choć w jego czasach było to całkiem powszechne.

Sam kościół, co już z daleka mnie oczarował, rzeczywiście przypomina twierdzę. Jego wysoka wieża zwieńczona jest blankami, ewidentnie musiała pełnić w średniowieczu funkcje obronne. Świątynia, mimo że zbudowana z cegły, wygląda na bardzo starą. Jej pierwsza bryła pochodzi z XIII wieku, co stawia ją pośród najstarszych śląskich budowli. Oczywiście z czasem z romańskiej stała się gotycka, o czym świadczy kamienny, zdobiony portal w południowej ścianie, ale wyszło jej to na korzyść, bo zyskała na smukłości. Brama pod kruchtą zaryglowana na głucho. Do wnętrza nie mogę zajrzeć nawet przez dziurkę od klucza. Szkoda, bo jak czytam, ściany zdobią średniowieczne polichromie, należące do najcenniejszych zabytków Polski.

Ale taki GSS lubię — choć po szosie i przez równiny, to jednak z najbardziej wartościowymi klejnotami Śląska. Wcale nie jest nudno, jak twierdzili w swych relacjach inni piechurzy.

Słońce grzeje, ale nie pali. Towarzyszy mu silny wiatr od gór, który przegania wszystkie muchy i nie pozwala mi się spocić. Znów wchodzę na asfalt i noga za nogą, krok za krokiem posuwam się prosto na zachód. I dostrzegam coraz więcej drobnostek, które tak dobrze znam i tak bardzo wryły się w moją głowę w śląski krajobraz.

W Piotrowicach Nyskich (Peterwitz) widzę poniemieckie sady o pobielonych wapnem pniach drzew, otaczające schludne domy o spadzistych dachach z czerwonej dachówki — dokładnie takie, jakie znam z Kleciny, gdzie dorastałem. Mijam krzyże przydrożne

i kapliczki, przy których palą się świece i leżą świeżo zebrane polne kwiaty. Chowam się w cieniu lip, co dają ochłodę od lipcowego słońca. Podnoszę z ziemi kwaśne jabłko, które gdy je gryzę, smakuje tak samo jak każde dzikie jabłko znalezione na ziemi: domem i dzieciństwem, bieganiem po ogródkach i niekończącym się nigdy latem. Wdycham zapach łąk, tych skoszonych i nieskoszonych, a ten odurza mnie wonią ziół. Powala mnie splot smaków, zapachów i wrażeń. Siadam, muszę odpocząć na ławce, przetrwać to wszystko, co drażni zmysły na różnych płaszczyznach i mnoży doznania.

Mam coś na kształt syndromu jerozolimskiego, choć zamiast ekstazy religijnej dopada mnie obłąd śląskości.

Mijam pałac, jak w typowej śląskiej wsi, jeden z wielu, pamiętający niezliczonych panów i władców. Odremontowany budynek otacza schludny park. Wieś zadbana, bogata, obejścia ogarnięte, trawniki skoszone i podlane. Przy paru domach baseny oraz wymyte auta, najczęściej bawarskie. Na dachach solary, gdzie indziej studnie, na nich donice, z których gęstą falą wylewają się różnobarwne petunie.

Ludzie różni. Czasem rozmawiamy. Pozdrowią, zapytają, jak podróż i dokąd nogi niosą. Gdy się uśmiecham, odpowiadają uśmiechem. Gdzie indziej, gdy się pojawiaam, rozmowy milkną, mieszkańcy się chowają. Rzucają mi ukradkowe spojrzenia. Obwąchują mnie psie nosy.

Majątek w Krakówkowicach (Krackwitz) sypie się cegła za cegłą i nie wygląda, żeby miał przetrwać następną dekadę. Za nim szlak ginie, jest źle oznaczony, łatwo pobłądzić, bo odbija nagle w pole, bez żadnej zapowiedzi czy drogowskazu. Na szczęście zmierza wprost na Ratnowice (Rathmannsdorf), z których wystaje kościelna wieża i od samego odejścia od szosy pośród zbóż wskazuje drogę, jak latarnia na suchym morzu.

W Ratnowicach po raz pierwszy spotykam ludzi wędrujących GSS. Już kończą. Ubrani po trapersku, z czapkami na głowach i osłonami na karkach, dwaj chłopacy pocięli szlak na trzy jednotygodniowe

odcinki. Mają profesjonalne kije i doskonale spięte plecaki, z których nic nie wystaje. Odwrotnie niż u mnie, gdzie pośród garbów luźno dyndają paski, a spod kłapy wynurza się pognieciona bluza.

— W Paczkowie zjedz w barze mlecznym przy Bramie Kłodzkiej. Tanie i dobre! — odpowiada jeden.

— A w Złotym Stoku jest sporo miejsc do spania. Nie musisz nic rezerwować — dodaje drugi.

— Dzięki za wskazówki, przydadzą się. Ale wątpię, czy dam radę przejść cały szlak za jednym zamachem.

— My też byśmy nie dali — śmieje się ten pierwszy. — *Thru-hike* jest dla wariatów.

Porównuję mój wiek z ich młodzieńczą werwą: ja 44, oni jakieś dwadzieścia lat mniej. Moje szanse maleją.

— Nic to — mruczę pod nosem bardziej do siebie niż do nich, po czym się żegnamy.

— Powodzenia na szlaku! My pojutrze kończymy, więc trzeba będzie znaleźć nowy.

Wędrując pośród rozłożystych przydrożnych drzew, przez przerzucone nad strumieniami mostki, trafiam na ślad znikającej krainy. Wkraczam na bruk, jakby krzyżówkę, lecz wiem, że to nie była droga, a dawny przejazd przez tor i pozostałości stacji. Zbudowana w 1893 roku linia kolejowa, wiodąca z Otmuchowa do Dziewiętlic i dalej do czeskich Bernartic, w 1977 roku przestała istnieć. Poszła na złom, rozmontowana, a teraz zarasta.

Dociera do mnie, że przebijam legendarną Przesiekę Śląską, dawną granicę między Górnym a Dolnym Śląskiem, w średnowieczu ponoć porośniętą nieprzekraczalnym lasem, który celowo niewycinany przez miejscowych władców miał chronić prowincję przed najezdami z południa.

Na nic się zdała przeszkoda, bo najeźdźcy przybyli od wschodu. Mongołowie po sforsowaniu Wisły i splądrowaniu miast centralnej

Polski ruszyli na zachód, by zmierzyć się z najsilniejszym wówczas ośrodkiem Piastów — Śląskiem. I z wykorzystaniem różnych forteli oraz nieznanymi europejskiemu rycerstwu gazów bojowych zmiażdżyli pod Legnicą hufce Henryka Pobożnego. Henryk poległ, *gorze nam się stało*, a Śląsk na lata pogrążył się w rozbiciu i walkach między książkami z coraz mniejszych państewek, z których każdy uważał się za najważniejszego, aż wykorzystał to król Czech Jan Luksemburski i wziął ich na stałe pod swą opiekę.

Teraz rozumiem, skąd ten niezwykły krenelaż na wieży kościoła w Kałkowie. Skoro budowla powstała w XIII wieku, to miała też chronić okolicę przed najazdami z Tartarii. Na szczęście po bitwie pod Legnicą Mongołowie już nigdy nie dotarli tak daleko na zachód. Ale wojny — mniejsze lub większe — przychodziły na Śląsk o wiele częściej niż raz na sto lat.

Następstwa najazdu mongolskiego były dla Śląska ogromne, być może porównywalne z wędrówką ludów z okresu upadku Cesarstwa Zachodniorzymskiego. Rozsprzęgły nie tylko struktury państwa, więzi i miejscową gospodarkę. Przede wszystkim wojna wywołała spustoszenie wśród ludności, która jeśli nie zginęła w czasie napaści, to trafiła do niewoli. A potem napływało coraz więcej osadników z zachodu, mówiących po niemiecku i niosących wiele nowych zwyczajów. Odbudowywane miasta lokowano na prawie magdeburским, wsie specjalizowały się, fundowano klasztory. Prowincja pomału oddalała się od Polski, z którą wiązała ją teraz głównie rządząca dynastia.

To niezwykle, że właśnie z tych czasów i właśnie ze Śląska pochodzi uznawane za pierwsze w historii zapisane po polsku, choć wypowiedziane przez Czecha zdanie, wspomniane w *Księdze henrykowskiej*, przechowywanej nad Oławą w henrykowskim klasztorze.

Siedemset lat potem, czyszcząc świat z nazizmu, dotarły tu ze wschodu ruskie czołgi, które obróciły w ruinę miasta i zatrzymały się na kilkadziesiąt lat. Obok zgliszcz zostawiły po sobie osobliwy system

wymiany: my dawaliśmy Moskwie mięso, a ona w zamian brała od nas cukier. Za to na Dolny Śląsk, i dalej niż za Kwisę, wrócił język polski.

Z Przesieki Śląskiej, która dzieliła zarówno plemiona, jak i późniejsze śląskie księstwa, pozostają dziś tylko skrawki lasów, drwale wyrabali je tak, jak kiedyś hordy Tatarów Śląsk. Krajobraz Przedgórze Paczkowskiego i Obniżenia Otmuchowskiego dziś bardziej przypomina urodzajne niziny niż zaczątek Sudetów.

Wchodzę do Trzeboszowic (Schwammelwitz), długiej, zaczynającej się rozlazło, a potem coraz bardziej zagęszczonej wsi. Ciągnie się wzdłuż rzeczki Raczyzna, która kilka kilometrów dalej uchodzi do Nysy Kłodzkiej. Domy szarawe, ale ładne, budynki gospodarskie brudne i odrapane, ale nie zrujnowane. Przykre tylko, że czerwoną karpiówkę z dachów wyparła pstra blachodachówka.

Na lewym brzegu potoku w wiejskim sklepie przy pałaco-pegeerze kupuję przekąski i picie. Krótki cień rzucają na drogę wierzby, lekko ułatwiają wędrówkę. Potem za cmentarzem i czerwonym, neogotyckim Kościołem św. Jadwigi przechodzę mostkiem na drugi brzeg. Znowu przypomina mi się Henryk Pobożny, syn nieskalanej patronki Śląska i innego Henryka śląskiego, zwanego Brodatym. Przypuszczalnie to w jego czasach powstała wieś, która dziś osiągnęła dość spore rozmiary, całkiem schludna i żywa, gdzie pomimo piątku przy majdanie krząta się wielu mieszkańców.

Za mostem natrafiam na parę. Spotykamy się wzrokiem i zatrzymujemy odruchowo, jakbyśmy od razu poznali, że idziemy tym samym szlakiem, choć w przeciwną stronę.

— Wy też na GSS?

— Tak. Pomału zbliżamy się do końca — odpowiada dziewczyna.

— Rok temu przeszliśmy Główny Szlak Beskidzki. Razem z GSS to prawie tysiąc kilometrów — wtrąca jej partner.

Czuję ukłucie w brzuchu. Miażdżą mnie ich doświadczenie i kondycja.

— *Chapeau bas!* Mnie dopiero stuknęło osiemdziesiąt.

— Spokojnie, każdy od czegoś zaczyna. Jestem Magda.

— Tomek.

— Michał.

Podajemy sobie ręce.

— Beskidy są bardziej dzikie, ale wiesz, sudecki las jakoś inaczej pachnie — zauważa Tomek.

Nie do końca rozumiem. Bywam w tych górach od dziecka i niosą dla mnie oczywistą górską woń. Nie znam innej.

— Inaczej? — pytam. — Dla mnie to typowy zapach gór. Nic więcej.

— Może i tak. — Wzrusza ramionami. — Ale my czujemy, że coś w nim jest. Tylko nie umiemy tego określić.

Rozstajemy się w dobrych humorach, życząc sobie powodzenia. Lecz sensoryczne spostrzeżenie wzbudza serię pytań.

Może to polarne wiatry, które wieją ciągle nad tysięcznikami? Atlantycka wilgoć, niesiona z daleka i dopiero tu osiadająca na grzbiecach? Świerczyny i kosodrzewiny porastające zbocza o wiele niżej niż w innych miejscach świata? Krzyżujące się pyłki roślin dorzecza Mórz Czarne, Północnego i Bałtyckiego? Zmieszane w ziemi soki roślin Karpat i Alp?

Droga, choć wiedzie pośród zasuszonych, skoszonych pól, jest bardzo przyjemna. Wyszła po burzy, upał zbyt nie doskwiera. Góry mam cały czas w zasięgu wzroku, pomagają określić, gdzie jestem, mimo że sprawiają wrażenie, że stoję w miejscu. Góry Opawskie zostały w tyle. Przede mną Góry Złote.

Ujeździec (Gesess) wita mnie postpegeerowskimi blokami i wiejskim rozgardiaszem. Jednak przy majdanie domy znów nabierają śląskich kształtów: mają dwuspadowe dachy i wyraźnie dzielą się na części mieszkalną oraz gospodarczą. Dalej mijam wielki dwór, podzielony na mieszkania, o czym świadczą wiszące w każdym oknie różne firanki i kilkanaście zaparkowanych obok samochodów. Mimo

tego budowla pozostaje względnie jednolita, a park obok — wypie-
lęgowany i przystrzyżony.

Przy dziurawym asfalcie stoją rzędy granatowych, ponumero-
wanych skrzynek na listy, tu trochę nie na miejscu, gdyż zazwyczaj
ustawia się je we wsiach o rozległej i trudno dostępnej zabudowie.
Stan domów upodabnia się do asfaltu — teraz znowu częściej spod
odrapanych fasad zieją cegły i gołe ściany. Czasem nawet znika dach
i ukazuje goły szkielet piętrowa. Ale tu i ówdzie pojawiają się pięknie
wyremontowane budynki, odzyskujące dawny podsudecki blask,
choć niestety zbyt rzadko kryje je dachówka, a zbyt często — nie-
wyszukany metal.

Przy skrzyżowaniu koło dawnego sklepu lub gospody podwójna
niespodzianka. Po pierwsze, szlak, zamiast biec prosto szosą przez
jakieś dwa kilometry do Unikowic i dalej do Paczkowa, skręca w lewo
i robi pętlę, ponownie zbliżając się do czeskiej granicy. Po drugie,
pakuje się prosto w bród na rzeczce Szronce. Bród, płytki pomimo
niedawnego deszczu, mógłbym przejść suchą nogą. Lecz wygoda
sandaków tkwi także w tym, że w takich chwilach mogę bez większej
szkody wpakować się w wodę, schłodzić i obmyć zmęczone stopy.

Intryguje mnie nazwa strumienia. Szronka to według słownika
Doroszewskiego kara, cętkowana klacz. Mnie, pomimo upału, koja-
rzy się ze szronem. Ciemny, rozlewający się nurt nie mówi nic, mo-
czy tylko ponemiecki bruk. Strugę porastają trzciny, a wyspy rzęsy
wodnej nieznacznie ożywiają tę praktycznie stojącą wodę.

Mała Szronka ma wiele nazw. Według Czechów — choć nie ma
tego na mapach — przez chwilę zwie się Czerwonym Potokiem.
W granicach Czech to oficjalnie Bílý potok, który wypływa parę ki-
lometrów od Javorníka, gdzieś na wschodnich krańcach Gór Złotych,
gdzie Vincenz Priessnitz eksperymentował z leczeniem wodą i tak
wynałazł prysznic. Niemcy nurt nazywali Weissbach albo Fuchswin-
kler Wasser, co w jakiś dyskretny sposób — przez lisa, *der Fuchs*,

i jego kolor — łączy się z czerwienią, jak i miejscowością, do której z każdym krokiem się zbliżam.

Za Ujeżdżcem potok kręci się i spływa obok polnej drogi. Mijam schnące kałuże, nieskoszone jeszcze pola zbóż i machające do mnie z oddali śmigła turbin wiatrowych. Przed oczami rosną coraz wyższe i coraz wyraźniejsze zielone góry.

I tak docieram do wsi o pięknej nazwie Lisie Kąty (Fuchswinkel), gdzie zamiast lisów i rudych kit z okna zatopionej w łopianie chałupy wita mnie biały kocur. Obok straszy zdewastowany, zredukowany do nagich murów pałac, co przechodził z rąk do rąk od biskupów wrocławskich do Czerninów, od Mansteinów do Hantkech⁴. Od strony drogi wygląda tak, jakby dopiero co przeszły obok tatarskie hordy: okna puste, dachy zerwane, tynk obłupany. Zaglądam przez mur, ale ukazuje mi się jedynie coraz bardziej aktywna pośród ruin natura. Nie ma śladu po dawnych panach i rycerzach, damach i duchach, tylko coraz gęściej rosnące akacje.

Na drodze znów staje mi Szronka. Za przerzuconym nad nią żółto-niebieskim mostkiem drogowskaz każe mi zawrócić na wschód. Niezbyt odpowiada mi ten kierunek, muszę się przygotować. Zrzucam plecak i kładę się na chwilę w cieniu jawora, na wysuszonej, miękkiej trawie. Ziemia ciepła, lekko się wznosi, dzięki czemu plecy i nogi szybko odpoczywają. A ja patrzę prosto w górę na białe obłoki pędzące po niebieskim niebie na tle poruszanych wiatrem klonowych liści. Połowa dzisiejszej trasy za mną.

Na twarzy czuję chłodniejszy powiew, przynajmniej takie odnoszę wrażenie, gdy maszeruję po trawiastej grobli, po obu stronach obsadzonej klonami. Najpierw biegnie wzdłuż przekroczonej znów Szronki,

⁴ Damian Dąbrowski, *Lisie Kąty*, <https://www.palaceslaska.pl/index.php/indeks-alfabetyczny/l/798-lisie-katy> [dostęp: 10 listopada 2025].

a potem skręca na północny zachód, aby spotkać się z szosą do Unikowic (Heinzendorf), kolejnej przemierzanej równym krokiem wsi.

We wiosce podobają mi się późnobarokowa kaplica i stojący przed nią krzyż. Jeszcze większą uwagę przyciąga wymalowany na ścianie jednego z domów szyld „Bar piwny”. Szary dom z fundamentem z kamienia, na którym umieszczono tablicę, ustawiony jest osobiście na wschodnią modłę ścianą szczytową w stronę ulicy. Lecz poza starym napisem, w którym litera „Y” jest przekreślona i wygląda jak symbol japońskiego jena, nie ma żadnych innych znaków świadczących o tym, żeby bar działał. Wygląda na nieczynny od wielu, wielu lat.

W Unikowicach stoi drogowskaz, który napawa mnie optymizmem: do Paczkowa pozostaje 35 minut, a do Złotego Stoku, gdzie zamierzam spać — nieco ponad trzy godziny. Mam dobry czas, dopiero 13.30. Nie muszę się spieszyć, żeby zdążyć na nocleg przed zmrokiem.

Opolska część Głównego Szlaku Sudeckiego charakteryzuje się tym, że w centrum każdej miejscowości stoi drogowskaz PTTK, wskazujący jej nazwę, wyznaczający wysokość nad poziomem morza i określający kierunki do sąsiednich miasteczek albo wsi, leżących na malowanej czerwonymi znakami trasie. Później będzie mi tego brakowało.

Ławki znajdują się tylko przy kościołach albo na przystankach autobusowych. Te kościelne są czyste, zadbane, wygładzone i wysiedziane. Natomiast przystankowe często do niczego się nie nadają. Śmierdzą moczem, kleją się, wystają z nich drzazgi. Lecz wiaty na postojach PKS-ów warto odwiedzać z innego powodu. Ich ściany bogato zdobią lokalne, sięgające nawet kilkudziesięciu lat opowieści o miejscowych relacjach miłosnych i sportowych sympatiach.

Tuż za wsią staję nad krzyżem pokutnym. To pierwszy na szlaku śląski relikwiarz, stawiany ponoć przez zabójcę w miejscu popełnienia zbrodni. Ten akurat jest kamienny, jednolity, obsadzony kępkami traw i kwiatów. Wygląda trochę jak megalit albo antyczny nagrobek.

Zbliżam się do Paczkowa (Patschkau), ale na mojej trasie wyrasta trudna do pokonania przeszkoda: droga krajowa Opole – Kłodzko. Auto hałasują i jadą nieprzerwanym ciągiem, a ja po przejściu 25 kilometrów zaczynam czuć zmęczenie i ruszam się coraz wolniej. Nogi boją, plecak ciąży.

Jestem jak żaba ze zręcznościowej gry *Frogger*, dla której w dzieciństwie zarywaliśmy noce. Pikselowy bohater musiał bezpiecznie przedostać się z jednej strony autostrady na przeciwną między samochodami. Właśnie tak chyba wyglądam, czając się między pędzącymi autami, by w odpowiedniej chwili wskoczyć na przejście.

Twórcy reklamowali grę hasłem *Leap for your life*, parafrazując wyrażenie „walcz o swoje życie”. To bardzo pasuje do polskich dróg i przejść.

Do miasta wchodzę z narastającym bólem kolan. Niespodziewanie rwą jak przy zapaleniu stawów, a ciężar plecaka tylko potęguje ból. Muszę się zatrzymać, łknąć jakiś proszek. Przydrożna figura Jana Nepomucena przypadkiem wskazuje sklep i aptekę, tam uzupełniam zapasy, kupuję leki. Nie działają natychmiast. Wlokę się pomału na paczkowskie Planty, do murów miejskich oraz pierwszej z paczkowskich baszt — Bramy Kłodzkiej.

Zaglądam do polecanej przez chłopaków ze szlaku jadłodajni i trafiam w sam wir obiadowego szczytu. Tłum ledwo mieści się w ciasnym lokalu, kolejka sięga aż do samych drzwi. Ktoś pozwala mi usiąść przy zajęтым stole. Zamawiam, niosę, jem. Chłodnik, kotlet, surówki, kompot. Wszystko, pomimo powszedniości, smakuje wybitnie, jakbym znalazł się w najlepszej miejskiej restauracji, choć to tylko zwykły bar mleczny, robotnicza jadłodajnia serwująca na szybko dania polskiej kuchni.

Oglądam zabytkowy rynek, ratusz i kamienice. Odnowiony plac tonie w monotonnej szarości. Jasnoszary ściera się z ciemnoszarym, gdzieś tam przebija brudnoszary albo żółtoszary tynk. Betonowe

szare płyty pokrywają część ulic i chodników, a dopełnia je srebrnoszara granitowa kostka i fontanna z kamienia w barwie ołowiu. Tylko dachy odcinają się czerwienią dachówek, w oknach i na latarniach wiszą donice, z których wystają równie czerwone jak dachowe pokrycie kwiaty. Obok siedziby władz miasta stoi kilkanaście zbyt skrupulatnie przyciętych drzewek, a wszystko sprawia wrażenie plastiku, sztuczności, zdecydowanie nie piękna, i nie dodaje miejscu powabu.

Ale po kilkudziesięciu krokach szlak wnika w bardziej naturalną miejską przestrzeń, wiedzie ulicą w stronę Bramy Ząbkowickiej, nad którą w płataninie kabli godnej płócien Pollocka, choć pewnie o wiele mniej wartej, huśtają się rzadko już spotykane latarnie punktowe. Krzaki porastają mury pamiętające średniowieczne jarmarki. Za zabytkową wieżą stara tkanka miejska ustępuje nowszej, ale nieprzerwanie śląsko-sudeckiej, a droga wyprowadza mnie najpierw za rzeczkę Kamienną, a potem za rogatki.

Cały czas idę twardym asfaltem. Gdyby nie sandały, już dawno miałbym spuchnięte stopy. Szosa niestety niesie też inną uciążliwość: droga jest profilowana dla aut, więc środek zwykle wysuwa się wyżej niż skraje, dlatego — choć nieznacznie — jedna noga zawsze znajduje się na innym poziomie niż druga. I właśnie stąd bierze się ten potworny ból kolan.

Pola, łąki i plantacje ustępują wodzie. Przed oczami skrzy się Zalew Paczkowski, jeden z pięciu w większości wybudowanych po drugiej wojnie dużych zbiorników na Nysie Kłodzkiej, który chroni leżące niżej wsie i miasteczka przed ewentualną niszczycielską górską powodzią. Latem jeziora przyciągają letników, pływają po nich żaglówki, na brzegach, niezbyt urokliwych, bo ciemnych od ziemi i gliny, wygrzewają się plażowicze. A jesienią, zimą i wiosną miejscowi modlą się do Nepomuków, żeby wezbrane po deszczach lub roztopach rzeki nie zmyły im domów.

W Kozielnie (Kosel) droga biegnie wysoką skarpą, przy niej stary cmentarz i przydrożne kapliczki. Obity pruski pomnik wylicza ofiary jeszcze jednej wojny. Spod zniszczeń ledwo widać wyryte nazwiska pochodzących stąd, a pewnie poległych we Francji chłopaków. Wioska skupia się wzdłuż jednej osi, jak typowa śląska ulicówka, pełna drzew i zagospodarowanych ogrodów. Jednocześnie sprawia wrażenie letniska. Zza chałup wystają domki kempingowe i przyczepy, do zalewu schodzą boiska i tereny rekreacyjne.

Na moment przyciąga mnie brzeg jeziora. Patrzę, jak woda lekko fąluje na wietrze. Rozpuszcza przybrzeżne błoto i pieni czarny muł. Zniechęca do zanurzenia stóp.

Domy nikną, wchodzę w gęstniejący las. Spośród drzew wybija się regularny niebieski kształt, wyróżniająca się w zieleni i brązach tablica. Informuje, że opuszczam Opolszczyznę i przez utkaną z niewidzialnych kresek granicę wchodzę do województwa dolnośląskiego. Że wychodzę z historycznego Górnego Śląska, zostawiam za sobą dawną Przesiekę Śląską i wkraczam na Dolny Śląsk. Mój Śląsk.

Po raz pierwszy w życiu wstępuję do hajmatu pieszo. Od kilku dni błędzę po bezdrożach już ponad siły. Ale wraz z granicą znów dopada mnie podniecenie, wręcz euforia, jakbym się najadł szaleju. Oczy mam szkliste, zataczam się i miesza mi się w głowie od emocji, upału i wyczerpania. A może od śląskiego powietrza?

To zabawne. Za tą niewidoczną barierą raptem wszystko staje się bliskie. Kłodzko — 20 kilometrów. Srebrna Góra — 30. Wrocław — 126. Tylko że ja, cholera, idę naokoło.

Tato, gdy rozmawiamy przez telefon, od samego początku wędrówki udziela mi wskazówek, jak wrócić do Wrocławia, na wypadek gdyby nogi odmówiły posłuszeństwa.

— To z Głuchołazów masz autobus do Nysy, a stamtąd już pociągiem.

— Do Brzegu i potem przez Oławę.

— A w sumie to masz bezpośredni autobus do miasta.

— Ech, w Długopolu właściwie to już pociąg jedzie prosto na Główny.

I tak sam staję się nośnikiem historii i geografii. Osobistej *Silesiographii*. Przenikają mnie miejsce, jego nazwy obecne i wcześniejsze, zmieniający się z nazwami ludzie — żyjący i zmarli, obecni i przeszli. Zaczynam z bliska odkrywać to, co przypadkiem lub specjalnie zostawili tuziemcy, przynieśli przodkowie albo przeoczyli najeźdźcy. Jak obcy stawali się swoi.

Prudnik — Neustadt. Głucholazy — Ziegenhals. Nysa — Neisse. Brzeg — Brieg. Oława — Ohlau. Ziębice — Münsterberg — Minsterberk. Ząbkowice Śląskie — Frankenstein — Frankenštejn. Kłodzko — Glatz — Kladsko. Wrocław — Breslau — Vratislav. I tak dalej, z każdym krokiem od setek lat, to samo w tych samych miejscach, choć inaczej.

*Rursus infra Semnones sedes habent Silingae et infra Burguntas Lugi Omani, infra quos Lugi Diduni usque ad Asciburgium montem*⁵.

Ślężanie — Silingowie. Jak u Klaudiusza Ptolemeusza.

Podczas marszu jest czas, by patrzeć, dotykać, wąchać, smakować, rozmawiać, poznawać. To coś innego niż efemeryczne mignięcia rozmytego krajobrazu zza szyby pociągu, autobusu, samochodu, a nawet roweru, który też przecież wymaga koncentracji. Wędrówka na piechotę oczyszcza i wyostrza zmysły. Pozwala wieczorem spałmętać melodie nakreślonych rano słów.

Pomimo silnego bólu kolan od Paczkowa podążam równym krokiem. Relacje z GSS pełne są lamentów, że sudeckie szlaki wiodą

⁵ *Rursus infra...* (łac.) — Poniżej Semnonów siedziby mają Silingowie, poniżej Burguntów, Lugiowie Omani, a poniżej nich, aż po górę Askiburgius, Lugiowie Diduni. Claudius Ptolemy, *The Geography, Book II, Chapter 10: Greater Germany*, https://penelope.uchicago.edu/thayer/e/gazetteer/periods/roman/_texts/ptolemy/2/10.html [dostęp: 10 listopada 2025].

szosami, po twardym i kamieniach, a moim zdaniem to część powabu tych miejsc. Tłumaczę to bardzo prosto: tu po prostu była lepsza infrastruktura niż na wschodzie, stąd na drogach asfalt — miejscami jeszcze poniemiecki — lub porządna kostka brukowa.

Dawniej Główny Szlak Sudecki zaczynał się w centrum Paczkowa. W 2002 roku PTTK przedłużyło trasę do Prudnika, co nie podoba się wielu wyczynowym górolazom. Narzekają, że Obniżenie Otmuchowskie i Góry Opawskie są zbyt płaskie.

Przez cały dzień mam w zasięgu wzroku górę z wieżą na szczycie. Długo nie potrafię jej zidentyfikować, tym bardziej że konstrukcje wież widokowych teraz wystają niemal nad każde wzniesienie. Ale po kilku godzinach gapienia się i określania kierunków dociera do mnie, że to przecież Borówkowa. Nie skojarzyłem, że jest tak blisko, gdyż zawsze patrzyłem na nią od zachodu, a teraz mam ją na południowy zachód od siebie.

We wsi Błotnica (Plottnitz) tuż przy drodze znajduje się sklecona z europalet pobielona ławka. Stoi w cieniu rozłożystej lipy, brzęczącej setkami pszczół. Na oparciu ktoś wyrył dwa serca i imiona: Emilka i Kornelka. Może to pamiątka wielkiej miłości dwóch kobiet, Rzymianki i Afrykanki, jak żona i córka Scypiona Afrykańskiego? A może tylko znak dwóch małych sióstr, które poprosiły rodziców o wyżłobienie w drewnie liter na wieczność? Siadam na przewieszanej przez gałąź huśtawce, chwytam manierkę i lekko się bujając, chłonę zimną wodę wraz z widokiem na rozległą, zieloną łąkę, wiejskie domy, niedalekie wzgórza i wychylające się zza ciemnego lasu wysokie Rychleby.

Po jednym z ogródków chodzi paw. Z głową zbliżoną do ziemi spokojnie stąpa, jak zamyślony badacz szukający sensu wśród ździebeł wykoszonej trawy.

A szlak, wytyczony dróżką o grafitowoczarnej nawierzchni, lepszej niż w niejednej zostawionej za plecami wsi, skręca właśnie

w kierunku gór. Zanim do nich dotrze, zanurza się w mieszany las. Spalone słońcem drzewa intensywnie pachną suchymi liśćmi, igliwiem, korą i żywicą. Ukrywają dawny skarb. Chowa się wśród nich prehistoryczny eratyk, kamień przywleczony na pogórze sudeckie jeszcze przez diabły pewnie w czasie któregoś ze zlodowaceń plejstocenu.

Jest stary, bardzo stary. Ma jakieś 150 – 300 tysięcy lat, ale wciąż o wiele mniej od wypiętrzonych tuż obok Sudetów, które powstały w górnym karbonie, jakieś 300 milionów lat wcześniej. Czyli niewiarogodnie dawno. Właściwie tak dawno, że był to kompletnie inny świat, wyglądający zupełnie inaczej i zamieszkany przez zupełnie inne istoty.

Mijam kanciasty zbiornik przeciwpożarowy, brzydki i kompletnie tu niepasujący, ale pełen wody niezbędnej do ratowania cierpiących w suszy drzew. A potem trafiam w niewielkie skupisko zabudowań. Przerzedzony i omszały płot wiejskiej chaty niebezpiecznie ugina się w stronę przydrożnego rowu. Dochodzą mnie muzyka i śmiechy, nad stawem wypoczywają ludzie. Słońce wciąż jest wysoko, lecz czuć późnopołudniowe rozprężenie. Niezmiennie od lat, jak zawsze na letnich kempingach, dobiegający z trzeszczącego głośnika zachrypnięty głos zwiastuje noc komety i ognistych meteorów deszcz.

A ja znów pnę się coraz wyżej. Nie tylko dostrzegam coraz większe przewyższenia i skosy, czuję to też przez napięcie mięśni ud, pracujących coraz mocniej, choć ostatekami sił po 35 kilometrach marszu. Po prawej mam potok o ponurej nazwie Trująca, a zaraz nad nim skażone brudem i pyłem budowle. Przygnębiają jak nazwa rzeczki. Zakłady niby czynne, ale zdają się zawieszony w czasie, nieobecne, pozbawione oznaczeń i symptomów prosperity.

Ruchliwą krajówką — tą samą, którą przeskakiwałem w Paczkowie — wchodzę do Złotego Stoku (Reichenstein) od wschodu, koło dawnych wapienników i muzeum górnictwa złota. Na stacji

benzynowej kierowcy krótkim postojem i szybkimi zakupami kończą pracę, a zaczynają weekend.

Gdy przekraczam próg miasta, z balkonu krzyczy do mnie chłopak. Wrzeszczy na całe gardło i macha szeroko:

— Masz gdzie spać? Bo jakby co, na banerze jest numer. Możesz dzwonić późno. Różnie bywa na szlaku.

Zagłuszany przez tiry odkrzykuję, że mam.

— Dzięki!

Uśmiecha się szeroko. Na wszelki wypadek jeszcze kilkukrotnie wskazuje palcem na mój plecak i adres, upewniając się, że wszystko dobrze rozumiem. Teraz też się śmieję. Miasto miło mnie wita. Dobra prognoza przed rychłym wejściem na sudeckie tysięczniki.

Rynek w Złotym Stoku to kameralna wariacja Rynku we Wrocławiu. Nie chodzi o to, że wygląda jak miniatura, ale po prostu tak mi się kojarzy poprzez barwne, zdobione kamieniczki, zwłaszcza renesansowy dom Fuggerów. W małych, kolorowych domkach mieszczą się restauracyjki, kawiarnie, sklepiki i muzea. Wygląda, że przetrwały pandemię. Zaraz za nimi wyrasta wysoko kościół ewangelicki, który dominującą nad Rynkiem pozycją przypomina mi wrocławski Kościół św. Elżbiety, choć ten złotostocki dla odmiany jest bielony, a nie ceglany.

Obok chowa się serce dawnego bogactwa — historyczna mennica książęca, bijąca w średniowieczu złote monety z wydobywanego na miejscu drogiego kruszcu. Urobek złotostockich kopalń sięgał 60 kilogramów rocznie, pięciokrotnie mniej niż w Złotoryi. Wciąż jednak przynosił spore zyski miastu, jak i władającym nim książętom ziebickim, potomkom króla Czech Jerzego z Podiebradów.

Choć wydobywanie złota spadło po wojnie trzydziestoletniej, struktury śląskich kopalń — także węgla — oparte na gwarectwach, czyli udziałach w produkcji, przetrwały do rewolucji przemysłowej. Właśnie w tym mieście w 1612 roku po raz pierwszy w Europie

w górnictwie zastosowano do odstrzału skał proch strzelniczy. Mennica zmieniła się w siedzibę austriackiej i pruskiej administracji górnictwa, w tym najważniejszy Królewski Urząd Górniczy, zarządzający w latach 1769 – 1779, a więc w początkach wydobywania śląskiego węgla, wszystkimi kopalniami Dolnego i Górnego Śląska.

Złoty Stok oprócz złota i srebra przez setki lat wydobywał rudę arsenową⁶. Czytam w „National Geographic”, że z tego powodu potok Trująca godny jest swego miana, notuje 100-krotne przekroczenie stężeń toksycznego pierwiastka, dopuszczalnych dla wody pitnej przez Światową Organizację Zdrowia⁷. Z arsenu od XVII wieku miejscowy alchemik Hans Schärffenberg pozyskiwał śmiertelny arsenik, z którego potem wyrabiano trutkę na szczury oraz preparaty na potrzeby dawnej medycyny i chemii. Górnictwo dotrwało do lat sześćdziesiątych XX wieku. Pozostały po nim dawne szyby, sztolnie, huty, zakłady chemiczne i farbiarskie oraz rozebrana ćwierć wieku temu stuletnia linia kolejowa.

W ściśle zabudowanym centrum miasteczka do czerwonego szlaku dołączają inne i przez chwilę biegną razem na stromą górę. Przechodzą nad muzeum minerałów i dawnymi kopalniami, po czym wbijają się w dolinę, gdzie Trująca przeistacza się w Złoty Potok, a mnie intryguje, czy wraz z nazwą przemianie ulega skład chemiczny. Krajobraz też gwałtownie się zmienia. Kanion wrzyna się mocno w góry, potok szumi na kaskadach, co chwilę pojawiają się skały, w tym wydarte ziemi przez dawny kamieniołom tarasy Góry Krzyżowej.

⁶ Kronika Złotego Stoku, <https://zlotystok.salwach.pl/kronika/5> [dostęp: 10 listopada 2025].

⁷ Katarzyna Grzelak, *Rzeka Trująca naprawdę truje. Stężenie rakotwórczego arsenu 100-krotnie przewyższa normy*, <https://www.national-geographic.pl/przyroda/rzeka-trujaca-naprawde-truje-stezenie-rakotworczego-arsenu-100-krotnie-przewyzyzsza-normy/> [dostęp: 10 listopada 2025].

Prawie dotarłem do celu dzisiejszej wędrówki. Krokomierz pokazuje odrobinę ponad 40 kilometrów. Od startu w Prudniku przeszedłem 105, w tym 97 kilometrów po Głównym Szlaku Sudeckim.

Zatrzymuję się tam, gdzie chciałem — w pensjonacie Złoty Jar. Kosztuje więcej od pozostałych miejsc, ale leży przy samym szlaku i właściciele odremontowali budynek, dbając o każdy sudecki detal. Z pieczołowitością uszanowali lokalny styl.

To rozłożysty, trzykondygnacyjny górski drewniany dom, kryty czerwoną karpiówką i połamanym na cztery strony świata dachem. Ścianę szczytową wypełniają rozpięte na całą długość okna o białych szczeblinach, co całą tę zwalistą, brązową od kryjącego drewno pokostu i jasną od farby okiennej konstrukcję czyni nieporównywalnie lekką w stosunku do zajmowanej przestrzeni. Dom przypomina mi trochę willę w Międzygórzu, do której jeździliśmy w dzieciństwie z rodzicami. To esencja architektury Sudetów w tej bogatej, uzdrowskiej formie, która miała zapewniać komfort i relaks oraz wyraźne doznania, choć niekoniecznie była praktyczna.

Dostaję mały pokójek na najwyższym piętrze, właściwie już na poddaszu. To trochę za dużo na dziś. Z każdym krokiem i zgięciem nogi słyszę skrzypienie. Ale nie — to nie zdrożone i bolące kolana, lecz stare, drewniane schody, uginające się pod ciężarem moim i dźwiganego na barkach plecaka. Korzystam z przestronnej, klasycznie wykafelkowanej na biało-czarno łaźni, splukuję nagromadzony przez kilometry wędrówki kurz i pot. Wskakuję w czyste ubranie, wkładam koszulkę „Czech Olympic Team”, czeskiej drużyny olimpijskiej. Być może po to, by nadać sobie bardziej wyczynowy wygląd. Na pewno dlatego, by poczuć się lepiej.

Przy stoliku restauracji na dole zamawiam Pilsnera i zupę z raków. Zupa dla mnie zbyt słona, bo ja prawie w ogóle nie używam soli, i zbyt czosnkowa. Wypełnia przyjemnym ciepłem żołądek, lecz smak — wbrew wykwintnej kompozycji — nie dościga prostego

obiadu z Paczkowa. Gorzki Pilsner orzeźwiająco nawadnia. A atmosfera gęstnieje.

Stół obok zajmują chłopscy filozofowie. Pracują dla wielkich firm. Niby wykształceni, ale bez żadnego szacunku do świata i siebie. Nic im się nie podoba, a należy wszystko. W góry chyba przyjechali pod przymusem. Co chwilę kogoś obrażają, wyzywają, narzekają. Głośno nadają na swoich pracodawców, przełożonych, pracowników, podwładnych, żony, kochanki, przyjaciół, kolegów. W końcu klną na położone tuż za potokiem Czechy, dalsze Niemcy, odległą Rosję, Unię i ostatecznie — na co tylko czekałem — na ekologów.

— Kurwa — wplatają słowo kilkakrotnie w każde zdanie, nadając wypowiedziom prymitywny i wymęczony ton. Właściwie to jedyny przekaz ich rozmowy. Nie umieją inaczej.

Głupcy — myślę sobie, biorąc ostatni łyk. Gdyby nie ekolodzy i przyrodnicy, nie byłoby czego dziś w górach oglądać. Zostałyby poręby, może górnicy i resztki kopalń. Hulałby wiatr i straszyl złom.

Wracam do środka i człapię na górę. Czuję się źle. Pomimo maści i tabletek ostre rwanie kolan każe mi przeplanować wyznaczony na jutro odcinek i podzielić go na części.

Nie zdołam przejść po wysokich górach 36 kilometrów. Patrząc na mapę; nie wiem, czy obolały i zdrożony dam radę pokonać choć połowę nakreślonej trasy. Nocleg wypadnie więc pewnie w Lądku-Zdroju. Na szczęście jest tam dużo hoteli i sanatoriów.

Oprócz bólu dopadają mnie dreszcze. Trzęsę się z zimna, nie mogę uleżeć. Za radą znajomych masuję nogi, trzymam do góry, na piramidzie koców, poduszek i czego tylko znajdę, żeby dać im odpocząć. Chłód każe przykryć się po uszy. Za oknem szumi Złoty Potok i górski polsko-czeski las. A z głowy znikają mi ostatnie dziś myśli.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Śląsk znany i nieznan

Michał Zabłocki przemierza sam środek Europy Środkowej. W swojej podróży po Śląsku, po pograniczu państw i kultur pokazuje, gdzie dawniej i dziś przenikały się wpływy polskie, czeskie, niemieckie, węgierskie i inne, a także gdzie odżywają na nowo.

Podczas liczącej prawie 500 kilometrów wędrówki wzdłuż Głównego Szlaku Sudeckiego, na przewyższeniach o sumie ponad 10 000 metrów, zatrzymuje się w założonych w średniowieczu miastach, zwiedza zapomniany czeski zakątek, zdobywa twierdze husytów i raubritterów, je i pije w śląskich gospodach, spotyka się z byłymi i obecnymi mieszkańcami Śląska. Wreszcie — jak niegdyś prezydenci Václav Havel, Lech Wałęsa, John Quincy Adams — podąża Drogą Przyjaźni Polsko-Czeskiej.

To bardzo osobista podróż, mierzenie się z wysiłkiem i własnym ciałem, które momentami znajduje się na skraju wytrzymałości. To także zanurzenie się we wspomnienia i w literaturę.

**Obowiązkowa lektura dla mieszkańców Śląska,
miłośników Czech i pasjonatów gór!**

Patroi medialni:



DZIENNIK
ZACHODNI.PL

ŚLĄZAG.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-3555-6



9 788328 935556

cena: 49,90 zł



wydawnictwospłoty.pl